

– Gotowe? – zapytał tyran.

Tak, to było jedyne określenie, które pasowało do mojego kierownika. Chociaż nie, nie jedyne. Pasuje jeszcze ciemieżca, dręczyciel, prześladowca. O, despota też jest dobre, brzmi tak coolowo, korporacowo.

– Już prawie skończyłem – wydusiłem z siebie, starając się na niego nie patrzeć.

– W piątek mówiłeś to samo.

Stał tak nade mną. Wielki, dobrze zbudowany blondyn, lat około trzydziestu. Młody – gniewy, jak określał tyrana Karol. Marek Szwarz, nasz firmowy Schwarzenegger..., Arnold, jak go wszyscy nazywali. Kat nad swoją ofiarą. To przez niego ludzie wynoszą się z naszego działu. Przynajmniej tak wszyscy mówią.

– Czepiał się?

– A jak myślisz? – zapytałem ze złością.

Czasami retoryczne pytania Karola bardzo mnie denerwowały.

– U mnie też był, ale jakoś poszło na spokojnie. Dał mi czas do środy.

Facet naprawdę się cieszył.

– Poczekaj, jeszcze do środy daleko. Na pewno mu się zmieni i pogna cię aż miło! – byłem zły, że mi się oberwało, a jemu nie.

– Przestań, chyba mi tego nie życzysz?! – przyjaciel spojrzał na mnie z wyrzutem. – Co, mało razy po mnie jeździł? Chociaż dzisiaj dał mi spokój.

– Coś ty, żartowałem. Fajnie, że ci odpuścił.

– Zobaczysz, od ciebie też się kiedyś odczepi.

– Pewnie tak...

Ale szczerze w to wątpiłem. Do końca dnia nie mogłem się skupić na pracy. Czy każdy mój tydzień musiał zaczynać się tak samo?

„Przyjdź do mojego biura”. Informacja na komunikatorze od Arnolda. Zmroziło mnie, przez chwilę nie mogłem się ruszyć. W końcu westchnąłem ciężko i ruszyłem korytarzem.

– Siadaj, ale najpierw zamknij za sobą drzwi – mój dręczyciel był stanowczy, to nie wróżyło nic dobrego.

- Potrzebujesz coś ode mnie? – wypaliłem bez sensu, bojąc się, że ryknie „Zwalniam cię!”.
- Mówiłeś w poniedziałek, że już kończysz. Jest czwartek i nadal nie mam u siebie twojego raportu! – tyran bębnił ołówkiem o biurko.
- Tak, planowałem skończyć w terminie, ale dane które dostałem są niepełne...
- Przestań! – krwio pijca prawie syczał przez zęby. – Przecież tobie ciągle coś się przytrafia..., kurwa! Człowieku, ogarnij się wreszcie! Czy do ciebie nie dociera, że jak coś ma być skończone na piątek, to ma być na piątek, a nie na wtorek, czwartek, czy za tydzień??! Ile razy można cię prosić?!
- „Prosić?” pomyślałem. Tak, to początek mojego końca...

Potrzebałem odprężenia. Byłem tak spięty, że ciągle bolał mnie kark. Pomyślałem, że łyżeczek czegoś mocniejszego odpowiednio mnie rozmiękczy i znieczuli. Miałem taką ulubioną knajpkę. Podawali tam świetne trunki, a i pogadać można było na luzie.

- Naprawdę? Masz takie możliwości? – zapytałem pełen nadziei, ale w tej samej sekundzie ogarnął mnie sceptycyzm. – Nabijasz się ze mnie, przecież nawet ci nie powiedziałem, o kogo mi chodzi.

Siedziałem przy barze, nerwowo obracając szklankę w dłoni. Nie pamiętam nawet kiedy ten gość się przysiadł i jak rozmowa zeszła na temat pracy. Tak czy siak, wyzaliłem mu się, jak przez pewnego pana jest mi ciężko.

- O Arnolda, krwio pijcę.
- Skąd wiesz?! – nie mogłem uwierzyć, że on go znał.
- A, kilka osób z twojej firmy wspominało już o nim – uśmiechnął się pod nosem. – Z twojego opisu wywnioskowałem, że chodzi o Szwarca.
- Mnie to wcale nie śmieszy – nie spodobał mi się jego uśmiech, był jakiś dziwny.
- Coś ty, nie śmiałem się z ciebie – zreflektował się. – Po prostu pomogłem już komuś od was. Ale nie związanego z nim – dodał, widząc mój pytający wzrok. – Na pewno nauczka by mu się przydała, słyszałem że kawał drania.
- To delikatnie powiedziane! – nie kryłem emocji. – Żeby tak poczuł ból, to może w końcu by się ode mnie odczepił. Żeby też się podręczył! Zobaczymy, czy byłby wtedy taki twardy!
- No ba! Załatwione! – facet wyciągnął do mnie rękę.

Spojrzałem na niego, facet naprawdę mówił poważnie.

- Ale wiesz, że nie chodziło mi o prawdziwy, fizyczny ból. Rozumiesz? – zapytałem niepewnie. – Nie

chcę trafić do kryminału...

– Oczywiście, że wiem – oburzył się. – Za kogo ty mnie masz? Jakiegoś gangusa, czy lumpa?

– Nie, no tak. Wiesz, tak powiedziałem – dodałem przepraszająco. – Nie wyglądasz na bandziora.

– To co, zawieramy pakt? I temat załatwiony – powiedział rzeczowo. – Kiedyś ty wyświadczysz mi jakąś przysługę.

Pakt? Co to za koleś. Nic, ważne, że w końcu będę miał spokój.

– Pewnie, jak tylko będę mógł coś dla ciebie zrobić – odparłem ochotczo. – Tu masz do mnie numer.

* * *

Od kilku dni miałem w pracy spokój. Dokładnie od następnego dnia, po mojej rozmowie z nieznajomym. Nie wiem jak to zrobił i jak udało mu się to tak szybko, ale Arnold przestał się mnie czepiać. W sumie, to chyba w ogóle nie widziałem go od tamtej pory.

– Karol, nie wiesz co się dzieje z naszym kierunkiem? Zauważyłeś, że ostatnio już się mnie nie czepia?! – nie mogłem ukryć radości w głosie.

– To ty nic nie wiesz? – kumpel zrobił zdziwioną minę.

– A co mam wiedzieć? – zapytałem, bujając się leniwie na krześle.

– Synek Arnolda, znaczy Marka jest w szpitalu.

– Co?

– No tak, od piątku, znaczy od poprzedniego piątku.

– Nie wiedziałem, a co mu się stało? Ktoś go pobił? – zaniepokoiłem się.

– Nie, no coś ty. On ma dopiero 7 lat. Na onkologii – Karol posmutniał. – Podobno to glejak.

– Glejak? A co to jest? – dopytywałem, jednocześnie oddychając z ulgą, choć niepokój do końca nie minął.

– Guz. Rak mózgu, podobno bardzo zaawansowany...

– Jezu... – poczułem zimno. Pomyślałem o nieznajomym. Nie, to niemożliwe. – Ale to chyba nie ja...

– Słucham? Co nie ty? – przyjaciel spojrzał ze zdziwieniem.

– Nic, nic – machnąłem ręką. – Jesteś pewien, że Arnold, to znaczy Marek, dowiedział się o tym w

piątek?

– No tak, miałem mu wtedy oddać raport, a on nie przyszedł w ogóle do pracy.

– Podobno guz rozwija się w błyskawicznym tempie. Jednego dnia dzieciak zdrowy, drugiego umierający... Co za los – ciągnął.

– Jak to jednego dnia? Przecież żaden nowotwór nie rozwija się tak szybko.

– Anka tak powiedziała. Chłopak podobno regularnie przechodził badania. Marek chciał, żeby został sportowcem. Dzieciak dobrze grał w piłkę.

Po tej rozmowie nie mogłem się już skupić na pracy. Analizowałem to, co powiedział mi Karol. Tłukłem się z myślami. Ale w końcu, to przecież nie moja wina. Tylko ten dziwny zbieg okoliczności. Nie pamiętam jak dotarłem po pracy do domu. Zajrzałem do lodówki, choć wcale nie chciało mi się jeść. Coś ciągle irytująco brzęczało. A, telefon.

– Witam! To ja!

Zamarłem, od razu rozpoznałem ten głos.

– Pewnie już wiesz. I jak, zadowolony? – zapytał. – Jest tak jak chciałeś. Żadnego bólu fizycznego, ale zapewniam cię, że na pewno to odczuł, ha ha! Jak obiecałem, tak masz. Teraz Arnold nie znajdzie już czasu, żeby cię dręczyć.

Zemdlałem.

* * *

Przebudziłem się, chyba. Tak, na pewno. Nie czułem ręki, tak mi ścierpła. Przekręciłem się ciężko i wyciągnąłem ją spod siebie. Na przemian zaciskałem i prostowałem palce, starając się by krążenie wróciło jak najszybciej. Syknąłem, bolało gdy krew rozpływała się po palcach...

Tak, to mi się udało. „*Krew rozpływała się po palcach*”. Wykrzywiłem twarz w grymasie, na oślep szukałem butelki na ławie, strąciłem jakieś szkło. Mam, jak najszybciej się napić.

– Co się z tobą dzieje? – Karol dopytywał się po cichu. – Czuć od ciebie alkohol? Chcesz, żeby cię wylali?!

– Daj mi spokój..., nie masz się czym zajmować?! – warknąłem.

Popatrzył tylko na mnie i poszedł do siebie.

Znowu dzwonił. Rozpoznałem numer, nie odebrałem. Stałem patrząc w lustro. Czy ten zarośnięty gość, to naprawdę ja? Tak, Piotr Malec, kat. Zabójca dzieci.

Pod ławą leżała chyba jeszcze jakaś butelka...

– Nie wiem jak załatwiłeś te zwolnienie, ale uważaj z tym – kumpel mówił prawie szeptem. – Przestań, zanim się połapią.

– Wiesz, miałem ostatnio ciężki okres – powiedziałem usprawiedliwiająco.

– Wiem – burknął, nawet na mnie nie patrząc.

– Słuchaj... a nie wiesz gdzie leży synek Marka? – zapytałem. – To znaczy, w którym szpitalu?

– Chyba w wojewódzkim. A co? – zainteresował się.

– Nic, tak byłem ciekawy...

– Dzień dobry, gdzie jest oddział onkologiczny dla dzieci? – zapytałem panią w informacji.

– Windą na trzecie piętro, a później na prawo – odpowiedziała, wskazując mi kierunek do wind. – Proszę pamiętać o pozostawieniu płaszcza w szatni.

Spojrzałem po sobie, byłem cały mokry, na zewnątrz mocno padało.

Stałem przed drzwiami oddziału i obracałem w dłoniach numerek z szatni. W końcu przekroczyłem próg i podeszedłem do stanowiska pielęgniarek.

– Dzień dobry, może mi pani powiedzieć, gdzie leży Mateusz Szwarec?

– Chwileczkę – siostra spojrzała w rozpiskę. – Sala numer 11, w głębi korytarza. Ale proszę pamiętać, że nie można wchodzić do środka.

Nie pytałem, dlaczego nie można wchodzić do środka, ruszyłem w kierunku wskazanym przez pielęgniarkę, a z każdym krokiem serce biło mi coraz szybciej. Oblizałem wargi, strasznie mi spierzchły. Numer 3, dalej następne..., numer 9, w końcu dotarłem. Numer 11. W ścianie sali było olbrzymie okno, przez które mogłem zajrzeć do środka.

Stało tam tylko jedno łóżko, na którym leżał mały chłopiec. Drobnny blondynek, chyba spał. Od razu było widać, że nie jest zdrowy. Stałem tak i nie mogłem się ruszyć patrząc na to bezbronne dziecko.

– Piotr? Co ty tutaj robisz? – za mną stał Marek z kubkiem kawy. – Przyszedłeś do Mateuszka?

– Ja... – spanikowany myślałem co powiedzieć, czułem się jak złapany na gorącym uczynku. – Byłem u

siostry, pracuje na tym oddziale. Pomyślałem, że zajrzę...

– Rozumiem. Dziękuję – stanął obok mnie i spojrzał na synka. – Po operacji wpadł w śpiączkę..., lekarze mówią, że jego stan jest bardzo ciężki. Że trzeba czekać.

Nic nie odpowiedziałem, co miałbym mu powiedzieć? Stałem tak wpatrzony w chłopca, powstrzymując się, żeby nie uciec korytarzem.

– Słuchaj Piotrek – zaczął. – Wiem, że w pracy nie zawsze jestem miły.

– Daj spokój – machnąłem lekceważąco ręką.

– Nie, naprawdę – mówił dalej. – Ale to góra tak mnie ciśnie, ciągle muszę tłumaczyć się z opóźnionych planów. Mówiłem im nieraz, że terminy są nierealne, ale to do nich w ogóle nie dociera. Każą mi wyrabiać się, albo zwalniać ludzi i przyjmować nowych.

Spojrzałem na niego. Nigdy nie zastanawiałem się, dlaczego taki właśnie jest, dlaczego nas gnębi. Przyjąłem to za rzecz oczywistą.

– Więc wiesz, wolę czasem przycisnąć śrubę, niż zwolnić – nerwowo poprawił włosy. – W końcu każdy musi z czegoś żyć, pensji nie dają za siedzenie w domu, prawda?

– Nie, no tak – bąknąłem. Uświadomiłem sobie nagle, że rzeczywiście tytanem pracy to nie byłem. Nie pamiętam kiedy ostatni raz wyrobiłem się z planem na czas. A jednak cały czas pracowałem.

– Dzięki, że zajrzałeś – objął mnie za ramię. – To pomaga.

Długi czas siedziałem na ławce przed szpitalem kryjąc twarz w dłoniach i płacząc.

* * *

– To ja. Musimy się spotkać – starałem się brzmieć stanowczo, musiałem coś zrobić. – Natychmiast.

– No , w końcu – usłyszałem w słuchawce. – Dzwoniłem do ciebie kilka razy, nie odbierałeś.

– Zajęty byłem – skłamałem.

– Domyślam się, teraz wolny od zmartwień i trosk, musisz pewnie niezłe szaleć – zaśmiał się do słuchawki. – Wyślę ci adres SMS-em. Wpadaj, pogadamy.

Wjechałem windą na ostatnie piętro biurowca. Wysiadłem. Cisza, żadnych osób czy korporacyjnego ruchu, którego się spodziewałem. Na końcu krótkiego korytarza znajdowały się tylko jedne drzwi. Popchnąłem je i zajrzałem do środka. Ciemne pomieszczenie, w którym paliła się tylko jedna lampa nad recepcją. Wszystko było w czarnych, albo ciemno szarych kolorach, nie widziałem dobrze w tym słabym świe-

tle.

– Zapraszam! – szczupła brunetka, z ciasno spiętymi włosami i okularami z monstrualnie grubymi oprawkami, machnęła na mnie zachęcająco.

Podszedłem do kontuaru. Patrzyła na mnie piękna, długowłosa kobieta, młoda. Jej wzrok ginął mi w refleksach okularów, chociaż dziwiłem się skąd się brały. Bo przecież nie od tego kaganka nad głową.

– Ja do... – zająknąłem się. Zdałem sobie sprawę, że nawet nie wiem jak on się nazywa.

– Prezes już na pana czeka – wskazała mi ogromne, czarne drzwi. Podziękowałem cicho i ruszyłem w ich kierunku. Nabrałem powietrza w płuca i zapukałem, nasłuchując odpowiedzi.

– Śmiało! – usłyszałem za plecami.

Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Stałem powoli na progu i oniemiałem. Patrzyłem na ogromne pomieszczenie, musiało być wielkości boiska do koszykówki. Cała sala była w czerwonym kolorze, a raczej w różnych jego odcieniach. Podłoga była najciemniejsza, w głębokim odcieniu bordo. Tworzyły ją szklane, olbrzymie tafle, na kształt wielkiego lustra pod nogami. Czerwone były też meble, w wyzywających odcieniach. I szkarłatne ściany, na których wisiały duże kinkiety, a podobne do nich olbrzymie żyrandole, zwisały z sufitu. Całości dopełniały dziesiątkami zasłon, przez które nie przedostawała się nawet odrobina światła, a pomiędzy którymi stały posągi jakiś postaci. Tylko one było w innym kolorze niż czerwień, miały barwę złota.

– Wchodź śmiało.

Dopiero teraz zauważyłem go w drugim końcu sali. Stał i machnął na mnie zza biurka.

Trochę potrwało, zanim do niego dotarłem. Stał i uśmiechał się do mnie. Za sobą miał ścianę z pewnego rodzaju wodospadem. Chociaż, nie wiem czy można było to tak nazwać, bo nie spływała po nim woda, tylko jakaś gęsta substancja w bordowo-brunatnym kolorze. Coś jak farba, albo krew... Wzdrygnąłem się.

– Piękna prawda?! – raczej stwierdził, niż zapytał. – Jestem z niej dumny. Ale siadaj, opowiadaj. Co tam u ciebie. Musisz być teraz szczęśliwy, w końcu możesz odetchnąć w pracy.

– Ja właśnie w tej sprawie – od razu zacząłem od sedna. – Musisz to wszystko cofnąć.

– Słucham?

– No, to co się stało. Nie wiem co tam podałeś temu chłopcu – zacząłem monolog. – I nie interesuje mnie to. Ale wiem, że coś wykombinowałeś, na pewno. Musisz to teraz tylko odwrócić. Nie wnikam jak i w ogóle. Po prostu się nie zrozumieliśmy, ale musisz to cofnąć, naprawić.

– O czym ty mówisz? – spojrzał na mnie marszcząc brwi. – Jakie wycofanie, przecież sam tego chciałeś!

– Nic takiego nie chciałem! – podniosłem głos. – Zwariowałeś? Ten chłopiec umiera! Ciesz się, że nie poszedłem na policję! Musisz to naprawić, a ja wtedy zapomnę o wszystkim.

– Nic nie będę naprawiał – powiedział spokojnie.

– Posłuchaj...

– To ty posłuchaj! – nie zauważyłem, żeby otwierał usta, ale jego głos dosłownie eksplodował w mojej głowie. – Zawarliśmy pakt i ja dotrzymałem swojej części umowy.

– Co...? – zamrugałem przerażony i oszołomiony.

– Ty wypełnisz swoją część umowy w odpowiednim czasie – pochylił się nad biurkiem w moim kierunku. – A teraz wypierdalaj!!

* * *

– Przepraszam, czy mógłbym w czymś pomóc?

– Słucham? – dotarło do mnie, że ktoś coś mówi.

– Jest już dosyć późno, chciałbym zamknąć kościół – jakiś ksiądz pochylał się nade mną. – Może mogę w czymś pomóc? Biuro parafialne będzie czynne od samego rana...

– Nie dziękuję, już sobie idę – starałem zebrać się w sobie i nie zachwiać przy wstawaniu. – Przepraszam, nie wiedziałem, że jest już tak późno.

Ruszyłem w stronę wyjścia.

– Proszę pana...

Chyba znowu pójde się napić. Tak, nie myśleć o tym chociaż przez chwilę.

– Synu, zaczekaj!

Odwrociłem się niepewnie.

– Proszę poczekać – powtórzył ksiądz. – Usiądźmy na chwilę.

Z chwili zrobiła się godzina, później kolejne. Nie wiem, jak długo rozmawialiśmy, ale całkowicie się posypałem. Opowiedziałem wszystko jak leci. Od pierwszego dnia w nowej pracy, przez gnębienie, ten straszny układ, aż po wizytę w szpitalu. Nie interesowało mnie, co o mnie pomyśli, czy mi uwierzy. Musiałem to w końcu z siebie wyrzucić. Powiedzieć komuś, żeby nie zwariować.

– Ksiądz mi nie wierzy – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

Przez dłuższy czas milczał. W końcu spojrzał na mnie.

– Wierzę ci chłopcze.

Położył mi rękę na ramieniu. Załkałem cicho, nie mogłem złapać oddechu. Ukryłem twarz w dłoniach i

rozplakałem się. Sam do końca nie wierzyłem w to co się stało, dlatego tak bardzo ulżyło mi, że ktoś tego nie negował. Przecież nie chciałem tego, to nie przyszło by mi do głowy, nawet w najczarniejszych myślach. Takie nieszczęście, ból i cierpienie. Jeszcze długo nie mogłem się opanować. On nic nie mówił, czekał cierpliwie, aż się uspokoję. W końcu, powiedział.

– Może będę mógł ci pomóc.

– Jak? Czy to da się w jakikolwiek sposób naprawić?! – patrzyłem na niego bezsilnie. – Jak ksiądz, może mi pomóc? Nie da się.

– Nie ja, ale znam kogoś – powiedział cicho. – Mam przyjaciela..., opowiem mu o tobie. Może coś poradzi.

Serce zabiło mi szybciej. Choć nie wierzyłem w możliwość pomocy, to chwyciłem się tej nadziei.

– Naprawdę? – patrzyłem na niego wyczekująco.

– Tak. Nie wiem tylko, kiedy będę się z nim widział. To bardzo zajęty... – zamyślił się. – On jest bardzo zajęty, ale czasem do mnie wpada. Przyjdź do mnie za kilka dni. Może odwiedzi mnie w tym czasie.

Chodziłem do kościoła codziennie, ale tajemniczy przyjaciel księdza Tymoteusza nie pojawił się. W pracy wziąłem urlop, nałgałem coś na szybko, a że ostatni raz brałem wolne trzy lata temu, więc nie miałem z tym żadnego problemu. Nie mogłbym się skupić na pracy. Ciągle myślałem o Mateuszkę, o tym co się stało, jak to spowodowałem, jak cienka jest granica między dobrem, a złem. Zacząłem regularnie się modlić. To dziwne, nigdy nie byłem specjalnie religijny, a teraz, po każdej modlitwie czułem się lepiej. I nie chodzi o to, że człowiek w trwodze często kieruje się w stronę Boga, ale będąc w kościele i modląc się, czułem się bardziej spokojny. Poczułem, że ktoś czuwa nade mną i Mateuszką. Gdy tylko ten spokój mijał, zaczynałem znowu pić. Żeby się nie bać, żeby przez chwilę nie pamiętać.

– Piotrze? – Tymoteusz wyrwał mnie z zamyślenia.

– Tak? – zapytałem mrużąc oczy, musiałem przysnąć.

– Dał mi znać, ma dzisiaj przyjść – ksiądz uśmiechnął się do mnie. – Ale nie wiem, o której godzinie. Może być bardzo późno, nie chcesz poczekać w domu? Zadzwońiłbym do ciebie, gdyby się pojawił.

– Nie, nie. Zaczekam. Lepiej żebym go nie przegapił.

– Więc dobrze. Gdybyś mnie potrzebował, wiesz gdzie mnie znaleźć.

Przytaknąłem.

– Nie będę ci przeszkadzał w modlitwie – odwrócił się i poszedł w stronę zakrystii.

– Piotrze? Piotr?

Uniosłem głowę. Nade mną stał rosły mężczyzna, w wieku około 40, może 50 lat. Tak naprawdę ciężko było określić, równie dobrze mógł mieć mniej albo więcej. Miał spokojne, ale zdecydowane spojrzenie. Wyglądał jak zawodowy żołnierz. Żołnierz? Nie, to nie była twarz żołnierza, ale wzbudzał szacunek samą swoją osobą.

– To ja, która jest godzina? – zapytałem rozcierając kark, cały zeszywniałem. Musiałem znowu zasnąć.

– Jest już po drugiej – odpowiedział. – Przepraszam, że musiałeś tyle czekać. Jestem Michał.

– Nic się nie stało, musiałem przysnąć na chwilę – poprawiłem szybko marynarkę, żeby nie wyglądać jak lump.

– Dobrze – mężczyzna usiadł obok mnie i wnikliwe na mnie spojrzał. – Ksiądz Tymoteusz trochę mnie wprowadził, ale opowiedz teraz ty, co się stało.

Poczułem się dziwnie, czekałem na tę chwilę, ale zawahałem się. Księdzu powiedziałem pod wpływem emocji. Ale była mi potrzebna każda pomoc. Spojrzałem na niego. Dziwne..., mimo że go nie znałem, wydawał się najwłaściwszą osobą, której powinien o tym wszystkim opowiedzieć.

– Wierzysz mi? Wierzy mi pan? – zapytałem, gdy już skończyłem.

– Możesz mi mówić po imieniu.

Wstrzymałem oddech na chwilę. Może jednak nie powinien o tym wszystkim mówić? Przecież za takie gadki zamykają w psychiatryku, a to w końcu nie klecha, nie obowiązuje go tajemnica spowiedzi.

– Tak.

Wypuściłem głośno powietrze. Siedzieliśmy dłuższy czas w milczeniu.

– Co chcesz teraz z tym zrobić? – zapytał. – Chciałbyś to naprawić?

– Tak, bardzo! – wręcz krzyknąłem. – A da się? Czy to w ogóle jest możliwe?

– Wiem, że nie życzyłeś źle chłopcu, ani jego ojcu. Ale teraz ciąży to na twoim sumieniu.

Jeśli myślisz, że mi tym pomaga...

– Wszystko zależy od tego, czy żałujesz. Czy uwierzysz, że można to naprawić.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Bardzo chciałem, aby to nigdy się nie wydarzyło, ale czasu nie cofnę.

– Chciałbym. Zrobię wszystko, co tylko będzie możliwe.

– Więc zaczniemy od jutra. Pójdziemy razem do twojego dręczyciela. Tego prawdziwego.

Na drugi dzień naszły mnie wyrzuty sumienia. Mój wierzyciel wydawał się być niebezpieczny. Za chwilę mogę mieć na sumieniu nie tylko Mateuszką.

– Jesteś pewny? – spojrzałem na Michała.

– Zapomniałeś, w jakiej sprawie idziemy? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Od razu przed oczy wrócił mi obraz śpiącego chłopca. Leżącego bez ruchu, bezwładnego, a raczej bezbronnego. Którego ja...

– Nie, nie. Nie zapomniałem – szybko zaprzeczyłem, bojąc się, że się rozmyśli. – Tylko wiesz, on nie wygląda na takiego co odpuszcza.

– Zobaczymy.

– Pan prezes oczekuje panów – za ladą siedziała ta sama sekretarka.

– Tak? – zdziwiłem się. – Nie zapowiadałem się, ale to prawda, muszę się z nim zobaczyć.

– Pan prezes wiedział, że pan jeszcze przyjdzie – dodała dobitnie.

– Więc proszę nas prowadzić do pani wszech wiedzącego prezesa – Michał był wyraźnie pewniejszy siebie ode mnie.

Sekretarka zmieszała się pod wpływem jego spojrzenia i już bez słowa, zaprowadziła nas pod drzwi gabinetu. Odtworzyła je zdecydowanym ruchem i gestem skierowała do środka.

Tym razem pokój wydawał mi się jeszcze większy. Stojąc w wejściu, ledwo rozpoznałem sprawcę mego nieszczęścia. Tak samo jak poprzednio, siedział za biurkiem na drugim końcu sali.

– Witaj Piotrze! – mężczyzna wstał energicznie. – Witaj Michale. Witaj w moich skromnych progach.

Mówiąc to, szerokim gestem wskazał po gabinecie. Spojrzałem zdziwiony na towarzysza.

– Co, nie powiedział ci? – usłyszałem. – Tak, zawsze był skryty i mało mówny.

Zatkało mnie. Więc byli kolegami? Czy to jakaś gra? Teraz dopiero mi dawała? Myśli w kosmicznym tempie przebiegały mi po głowie.

– Choć – Michał opiekuńczo ścisnął mnie za ramię i pociągnął w stronę biurka. – Tak znamy się. Ale nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Michale, ranisz me serce.

Gość wyraźnie się naśmiewał. Tak łatwo dałem mu się podjąć. Temu, rany, cały czas nie wiedziałem kim jest.

– Och, mam wiele imion.

– Co? – spojrzałem zdziwiony. *Czy pytałem na głos?*

– Nie.

Nie miałem pewności, czy to „nie” było potwierdzeniem, że nie są przyjaciółmi, czy kolejną odpowiedzią na moje niewypowiedziane pytanie. Wolałem się nie upewniać. Nie wiedziałem już, co o tym wszystkim myśleć, bałem się tego, co podpowiadał mi instynkt, a w co nie chciał uwierzyć rozum.

Oklapałem w fotelu ze spuszczoną głową. Bezsilny i zrezygnowany. Czułem, że nie śnię tylko dlatego, że byłem potwornie zmęczony, a całe ciało ciążyło mi jak ołów. Marzyłem tylko, aby o wszystkim zapomnieć, żeby to w ogóle się nie wydarzyło. Trafić w niebyt, bez uczucia, bez myśli, bez przeszłości.

– ... nie jesteś panem – dotarł do mnie stanowczy głos Michała. – Jesteś i zawsze byłeś upadłym. Jak to byś określił, podwładnym. I tylko podwładnym. Nigdy nie miałeś najmniejszych szans wygrać. Kiedy to w końcu zrozumiesz?

Patrzyłem na nich, nie rozumiejąc o co chodzi.

– I to – przyjaciel zatoczył ręką dookoła. – Bezsensowna ułuda, w której ciągle się pławisz. Czy naprawdę myślisz, że ten kiczowaty przepych wywiera na kimś wrażenie? Nie podoba mi się i zupełnie nie pasuje do tego miejsca.

Michał podszedł do jednej z zasłon i chwycił ją w dłoń. Od miejsca, w którym ją złapał zaczęła robić się biała, a biel rozpływała się coraz szerzej i szerzej. Mrugnąłem, nie będąc pewnym, tego co widzę. Otworzyłem usta ze zdumieniem patrząc, jak cała kotara przechodzi w biel, a jasność rozlewa się po całym pomieszczeniu.

– O Boże... – złapałem się za głowę i skuliłem w sobie jak zbity pies. To nie mogło dziać się naprawdę...

– Mówiłem ci, żebyś nie wzywał tu jego imienia! – mój dręczyciel syknął jak wąż. – A ty...!!

– Co ja, Samaelu? – Michał patrzył spokojnie.

Pokój całkowicie wypełnił się bielą, kotary zafalowały. Pojawiły się na nich kwiaty, podłoga pokryła się pięknym dywanem. Takim, jaki najczęściej widzi się przy kominkach. Takim, na którym od razu chce się usiąść. Zasłony rozsunęły się, musiałem osłonić dłońmi oczy, kiedy jasne światło wlało się z zewnątrz do środka. Czerwony wodospad przeobraził się w krystalicznie czystą wodę. Okna otworzyły się z hukiem. Dziesiątki ptaków wpadło przez nie do środka i rozsiadło się na murku wokół wody. Kilkanaście z nich fruwało pod sufitem ćwierkając radośnie.

– Tak jest znacznie lepiej – usłyszałem.

– Kiedyś, kiedyś mi za to zapłacisz! – nienawiścią w spojrzeniu Samaela dałoby się zabić. Zabić, gdyby tylko to nie był Michał...

– Musimy już iść – mój obrońca zignorował groźbę. – Piotr nie jest ci nic dłużny. Nigdy nie był.

Siedziałem na ławce. Oddychałem głęboko ciepłym, świeżym powietrzem. Od kilku dni już nie piłem i czułem się lepiej. Naprawdę wierzyłem, że teraz wszystko się zmieni.

– Słuchaj, wtedy miałem pijacką delirkę, znaczy zwidy. Prawda? – pytałem niepewnie. – Wiesz. Tam, w gabinecie.

Michał tylko się uśmiechnął.

– Postarasz się umówić Mateuszką na wizytę, u tego znanego onkologa?

– Słucham? – nie od razu załapałem.

– Mówiłeś o nim wtedy w kościele.

– Ach. Tak, pamiętam – spuściłem głowę. – Taka przysługa za przysługę?

– Nie, dlaczego? – zapytał zdziwiony. – Chyba nie myślisz o tym w ten sposób? Sam wtedy mówiłeś, że możesz.

– Nie, nie – szybko zaprzeczyłem. – Tak głupio mi się wyrwało. To po tamtym.

– To już nie wróci Piotrze – mój nowy przyjaciel ścisnął mnie za rękę. – Wierzę w ciebie.

Podniósł się z ławki.

– A teraz wstań, czas zrobić coś dobrego.

I wstałem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Darcon, dodano 23.11.2016 18:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.